

# Oryginalny styl

Cześć! Jestem Zużka i mieszkam w Brzezynie przy ulicy Leśnej 8 jako ludność napływowa. Kiedyś nie wiedziałam, co to znaczy. Myślałam, że przyplłynęliśmy do Brzezina tratwą albo jakimś statkiem, bo obok naszego domu jest taka mała rzeczka, ale rodzice wytłumaczyli mi, że ludność napływowa to wszyscy ci, którzy przeprowadzili się do jakiegoś innego miejsca.

Moi rodzice przeprowadzili się do Brzezina, ponieważ zawsze marzyli o tym, żeby zamieszkać na wsi.

- Nie ma to jak życie na wsi - zwykł mawiać mój tata. - Ciszka, spokój... nie to, co w Warszawie... Te dzikie tłumy i huk samochodów.

Zdaje się jednak, że dzikie tłumy ze swoimi samochodami wpadły na ten sam pomysł, dlatego teraz w Brzezynie mieszka pewnie połowa Warszawy, nie licząc dawnych mieszkańców i przybyszów z innych stron świata.

- To już nie jest ten Brzezina, co dawniej - ubolewa tata, ale ja jestem zadowolona. Mam teraz więcej kolegów i koleżanek.

Szkoda tylko, że żadna koleżanka nie chce sprowadzić się do tego domu naprzeciwko, który widać przez kuchenne okno.

- Zróbcie coś, żeby wreszcie ktoś tam zamieszkał! - mówię rodzicom przy śniadaniu, ale nie codziennie. Tylko w te dni, kiedy ogarnia mnie jakaś melancholia. A melancholia odzywa się u mnie na zmianę pogody, zupełnie jak reumatyzm w kościach babci Tereski. - Namówcie ciocię Jolę albo ciocię Kasię... Zresztą wszystko jedno kogo. Ważne, żeby mieli córkę w moim wieku i żeby zamieszkała w pokoju na poddaszu, w tym, co ma takie fajne okienko w dachu, dokładnie naprzeciwko mojego okna, żebyśmy nocą mogły przesyłać sobie tajne znaki za pomocą latarek.

- W nocy to się śpi - wtrąca się wtedy tata, ja zaczynam płakać, a mama mówi:

- Oj, oj, chyba będzie padać, bo Zuzia ma dzisiaj melancholijny nastrój.

- To nieprawda! Wcale nie będzie padać! Chodzi tylko o to, że to okropna niesprawiedliwość, że żadne dziecko nie mieszka na naszej uliczce.

I to jest prawda, że to okropna niesprawiedliwość, bo na naszej uliczce faktycznie nie ma żadnych dzieci. To znaczy dzieci są, ale tylko latem, kiedy przyjadą na wakacje na działkę, ale akurat wtedy my przeważnie wyjeżdżamy. Nie wiem, dlaczego wszystko musimy robić inaczej.

Kiedyś uważałam, że moi rodzice są zupełnie normalni, ale im dłużej żyję na tym świecie, tym częściej zauważam, że oni wszystko robią na odwrót. Ma to oczywiście swoje dobre strony, na przykład taką, że moja mama nie za bardzo się przejmuje, kiedy się zabrudzę, choć inne mamy potrafią zrobić o to całą aferę. Czasami jednak wynikają z tego różne nieporozumienia.

Na przykład kiedy byłam mała, uważałam, że wszystkie mamy są wegetariankami, bo moja mama i siostra mojej mamy, ciocia Agnieszka, nie jedzą mięsa, tylko moje babcie jedzą mięso. Dlatego myślałam, że dorosłe panie zaczynają jeść mięso z chwilą, kiedy stają się babciami, i potem bardzo się zdziwiłam, gdy zobaczyłam, jak odżywiają się mamy moich koleżanek.

Myślałam też, że wszystkie żony mają inne nazwisko niż mężowie, bo tak jest u nas. To się nazywa, że żona po ślubie zostaje przy swoim nazwisku, a dzieci dostają nazwisko męża.

- To się dosyć często zdarza w naszym środowisku - wytłumaczyła mi mama, bo moi rodzice są plastykami i ja kiedyś myślałam, że większość ludzi na świecie to są malarze, ale tutaj, w Brzezynie, nie jest ich tak wielu, kiedy więc w tym roku przyszła do naszej szkoły nowa pani (poprzednia musiała urodzić dzidziusia), od razu doszła do wniosku, że jestem dzieckiem z rozbitej rodziny, choć widząc moją tatę odwożące mnie

co dzień do szkoły, musiała przyznać, że jest to dość przyzwoita rozbita rodzina.

Ja zresztą powiedziałam, że ma rację, że jest rozbita, ale tylko troszkę, ponieważ myślałam, że chodzi o tę stłuczkę, którą mieliśmy kilka dni wcześniej.

Pani była bardzo zadowolona, że tak szybko udało jej się postawić trafną diagnozę, i w ten sposób po raz kolejny w swoim życiu trafiłam do psychologa.

Pani psycholog okazała się bardzo miła, bo z nimi to już tak jest, z tymi psychologkami. Muszą być strasznie miłe. Nawet jeśli ktoś je okropnie wkurzy. Uśmiechnęła się do mnie. Podała kartkę i kredki. I powiedziała:

- Zuziu! Chciałabym, żebyś narysowała mi swoją rodzinę.

Prawdę mówiąc, spodziewałam się tego, bo każdy psycholog uwielbia wprost patrzeć, jak dziecko rysuje swoją rodzinę. Wiem coś o tym, ponieważ kiedyś już byłam u psychologa, ale gdzie indziej, bo brzydko piszę i mam rozproszoną uwagę. Wtedy też rysowałam rodzinę, ale tym razem to była szkolna pani psycholog, postanowiłam więc szczególnie się przyłożyć, bo nie byłam pewna, czy to się nie odbije na ocenie z rysunków. Nasza pani też kazała nam narysować rodzinę, ale ja wtedy musiałam przyłożyć Karolowi i nie za bardzo mi wyszło, i dostałam uwagę, ale u pani psycholog nie miałam się z kim bić, szybko więc zabrałam się do roboty.

Najpierw narysowałam siebie, a wokół swojej głowy mnóstwo różnych rzeczy.

- A kto to jest ta dziewczynka z lokami? - spytała pani psycholog.

- Jaka dziewczynka? Z jakimi lokami? - zdziwiłam się.

- No ta.

- To przecież ja! Ale gdzie tu pani widzi loki?

Pani pokazała na te rzeczy, które narysowałam dookoła głowy.

- To nie są żadne loki, tylko uwaga - wyjaśniłam. Doprawdy, trochę to dziwne: psycholog, a trzeba jej wszystko tłumaczyć.

- Uwaga?! - Oczy pani psycholog zrobiły się wielkie i okrągłe.  
- No tak, uwaga, ale okropnie rozproszona. Bo ja mam rozproszoną uwagę. Dlatego pani wlepia mi uwagi i dlatego posyłają mnie do psychologa.

Pani zrobiła taką minę, jakby nie była pewna, czy ma się znowu dziwić, czy roześmiać, a ja narysowałam mamę i tatę. Mamie na sukience narysowałam przekreślone kości, dlatego że mama nie je mięsa, a tacie dorysowałam jakiegoś klienta w zębach i mnóstwo połamanych pędzli dookoła, i mnóstwo chleba, ponieważ mój tata już nie jest malarzem. Jest teraz grafikiem komputerowym, musi zarabiać na chleb i użerać się z klientami. I znów musiałam wszystko tłumaczyć, bo pani psycholog chyba nie bardzo potrafi wczuć się w mój nowy, oryginalny styl, postanowiłam więc trochę go zmienić i narysowałam Kacperka zupełnie normalnie, bez rekwizytów.

- To jest Kacperek, mój braciszek - wyjaśniłam na wszelki wypadek. - On jest dosyć mały i czasem nie jestem zbyt zadowolona, że jest moim bratem, szczególnie gdy zjada moją pracę domową, ale częściej się z tego cieszę. Prawdę mówiąc, nie lubię być jedynaczką, a tyle lat musiałam to znosić. To był dla mnie okropny stres i dlatego musiałam chodzić do psychologa i prosić tatę, żeby dał wreszcie mamie te kijanki.

- Kijanki? - zdziwiła się znowu pani psycholog. Ale tym razem wcale nie było dziwne, że się zdziwiła, bo mój tata z początku też się nie pokapował, i musiałam jej tłumaczyć, zupełnie jak wtedy mojemu tacie, że widziałam na filmie przyrodniczym: płynnie mnóstwo kijanek, ścigają się i najszybsza wpada do takiego okrągłego czegoś, co nazywa się komórka, choć wcale nie przypomina telefonu. Komórka zaczyna się dzielić i powstaje dzidzius w brzuszku mamusi.

Widziałam, że panią psycholog bardzo rozbawiła ta historia, zupełnie jak kiedyś mojego tatę, tyle tylko, że mój tata nie powstrzymał śmiechu. Poza tym pogłaskał mnie po głowie i powiedział, że zobaczymy, więc patrzyłam, ale to strasznie długo trwało, tak

długo, że prawie straciłam nadzieję. Szczególnie kiedy mój kuzyn Artur powiedział mi:

- Jesteś już za stara na te rzeczy. Człowiek po szóstym roku życia jest biologicznie niezdolny do posiadania rodzeństwa. Miałem cztery lata, gdy urodziła się Madzia, i to był ostatni moment, jeśli chcesz wiedzieć.

Jednak Artur nie miał racji, o czym najlepiej świadczy fakt, że mam Kacperka. Kacperek jest świetny. Ciągłe się śmieje, wspina na meble i w ogóle jest bardzo ruchliwy. Zupełnie jak ja, kiedy byłam w jego wieku, bo teraz już trochę wyrosłam, tak mówi moja mama. Teraz moja ruchliwość przeniosła się z nóg do rąk, dlatego wciąż muszę coś skubać, gniesć i międlić i tylko dlatego złamalam u pani psycholog kilka kredek.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła mnie pani psycholog, bo jak już powiedziałam, w tym zawodzie trzeba być okropnie miłym. Zwłaszcza dla małych pacjentów.

Później narysowałam babcię Zosię w futrze i z rosółem w słoiku, ponieważ babcia Zosia zawsze się martwi, że się za lekko ubieramy i za mało jemy.

Potem babcię Tereskę, a obok niej różne planety.

Pani psycholog spojrzała na mnie trochę niespokojnie i zapytała, co to są te kulki.

- To nie są żadne kulki! To kwadratury Marsa z horoskopów babci Tereski, bo ona uwielbia te rzeczy. No, wie pani... horoskopy, wróżby... Ale niech pani popatrzy! Przez te kwadratury zabrakło miejsca na dziadka Franka.

- Nie szkodzi - powiedziała pani psycholog i dała mi drugą kartkę.

- Dziadek nie może być oddzielony od babci - wyjaśniłam. - Najpierw trzeba te kartki skleić.

Pani psycholog nie była zbyt zadowolona z mojego pomysłu, ponieważ nie miała kleju w gabinecie. Ale widocznie musiała uznać, że nieprzyklejenie babci do dziadka może źle wpłynąć na moją psychikę, bo powiedziała:

- Pożyczę klej, a ty poczekaj spokojnie.

No więc czekałam. Dostyc spokojnie. Ale ja okropnie nie lubię marnować czasu, dlatego zaczęłam ćwiczyć kopnięcia, których uczyli mnie w czasie wakacji starsi koledzy.

I nagle!!! Trach!!! Niechcący wcelowałam w wazon, który stał na biurku. Wazon pełen pięknych kwiatów. Pewnie od jakiegoś małego pacjenta wdzięcznego za udaną terapię.

Nie byłam jednak całkiem pewna, czy pani psycholog również i moją terapię będzie mogła uznać za udaną, szybko więc zabrałam się do sprzątanania.

Pani psycholog weszła akurat wtedy, kiedy zaczęłam wycierać obrusem wodę z dywanu, bo innej szmaty nie mogłam znaleźć.

Na szczęście psycholog musi być okropnie miły dla swoich małych pacjentów, bo inaczej mogłoby być ze mną kiepsko.

- Nie szkodzi - powtórzyła pani psycholog, ale z mniejszym przekonaniem niż przy kredkach.

- Jakie to szczęście, że pani przyniosła klej. Zaraz skleję ten wazon - powiedziałam.

Ale klej się nie nadawał do wazonów, co najwyżej do babci i dziadka, więc zaproponowałam, że oddam jej za ten wazon z mojego kieszonkowego.

- Naprawdę nie ma takiej potrzeby - powiedziała, lecz ja koniecznie chciałam wynagrodzić jej jakoś tę stratę, dlatego zapytałam:

- A może ma pani przypadkiem złotą farbę?

- Złotą farbę?! Jaką złotą farbę?! Nie! Nie mam. Poza tym nie zamierzam już nigdzie wychodzić - zastrzegła pani psycholog i chyba zrobiła się trochę zła. - Zresztą po co ci złota farba?

- Do dziadka. Bo mój dziadek ma złotą rączkę.

Znowu zobaczyłam, że pani psycholog próbuje się nie roześmiać, i zrobiło mi się jej trochę szkoda, bo to okropnie męczące, tak dusić w sobie śmiech, więc powiedziałam:

- Takie powstrzymywanie się od śmiechu na pewno źle wpływa na psychikę. Ja specjalnie wymyśliłam tę złotą farbę, żeby panią trochę rozweselić za ten stłuczony wazon. Choć to prawda, że mój

dziadek ma złotą rączkę. Wszystko potrafi naprawić, ale można przecież użyć żółtej kredki.

Pani psycholog uśmiechnęła się do mnie, powiedziała, że dobre ze mnie dziecko, a ja rysowałam dalej: ciocię Agnieszkę i wujka Tomka z Arturem i Madzią, i moich rodziców chrzestnych, i Majkę, choć nigdy jej nie widziałam, i znów zabrakło mi miejsca, dostałam więc następną kartkę. Narysowałam na niej wujka Jacka, choć on nie jest moim prawdziwym wujkiem, tylko przyszywanym, ale ja go bardzo lubię. Poza tym wujek Jacek jest weterynarzem, a moja mama mówi: „Mamy tyle zwierząt w domu, że naszym lekarzem rodzinnym powinien zostać weterynarz”. Dlatego narysowałam wujka, bo jest lekarzem rodzinnym, a ja w końcu miałam rysować rodzinę.

Po weterynarzu przyszła kolej na zwierzęta. To chyba logiczne. Problem w tym, że ja nie za dobrze rysuję zwierzęta. Ludzi zresztą też, ponieważ mam dysgrafię. Dysgrafia oznacza, że pisze się jak kura pazurem i nie za pięknie rysuje.

Drugi problem jest w tym, że nie każdy psycholog uznaje zwierzęta za rodzinę. Niektórzy to nawet weterynarza nie uznają, jeżeli nie jest prawdziwym wujkiem. Ale ta pani psycholog najwyraźniej uznawała. Nie wiedziała tylko, co to jest to coś, co narysowałam.

- To Rudy. Nasz pies - wyjaśniłam.

Muszę powiedzieć, że Rudy jest super. Jest tak niesamowity, że został idolem mojego brata. I na dodatek sama go przybłąkałam! Naprawdę! I to był najlepszy dzień mojego życia. Nie licząc, naturalnie, dnia, w którym urodził się Kacperek, dnia, w którym zamieszkał z nami królik, i zeszłego piątku, kiedy to rodzice pozwolili mi nie iść do szkoły.

A przybłąkałam go tak. Zobaczyłam jakiegoś psa niespotykanej rasy, który stał przy naszym ogrodzeniu i machał do mnie ogonem.

- Dobry piesek, dobry - powiedziałam i wyciągnęłam do niego rękę przez siatkę. On mnie polizał, a wtedy poczułam, że

zostaniemy przyjaciółmi do końca życia. Nie wiedziałam tylko, czy rodzice się zgodzą.

I Kacper też go zobaczył, i zaraz krzyknął:

- Dobji, dobj! - I też wyciągnął rękę, i Rudy go polizał, a Kacper chyba poczuł to samo, co ja, bo zaczął podskakiwać i klaskać w ręce.

Wpuściliśmy go więc do środka, a on znowu nas polizał i najwyraźniej był bardzo zadowolony. Biegał dookoła i wszystko obwąchiwał, i nasikał na rododendrony. Dobrze, że tata tego nie widział.

Kacper, który dotychczas przyglądał się Rudemu z niespotykanym u niego skupieniem, podbiegł do krzaczka i też podniósł nogę. Ale to bardzo trudno tak sikać z podniesioną nogą, zaraz więc się przewrócił. Prosto w ogromną kałużę. A ja się przestraszyłam, że jak mama zobaczy mokrego Kacpra i dowie się, jak to się stało, może pomyśleć sobie coś złego o Rudym.

Tym bardziej że Rudy polizał Kacpra po twarzy, a rodzice uważają, że to okropnie nie higieniczne.

Kacper zaczął się strasznie śmiać, bo on ma łaskotki w policzkach, a pies podbiegł do ogrodzenia, żeby obszczekać przechodniów.

- Hau! Hau! - zawołał Kacperek i też podbiegł do ogrodzenia, i też obszczekiwał przechodniów. Biegali razem wzdłuż ogrodzenia i strasznie szczekali. Aż ludzie zaczęli przystawać i patrzeć na Kacpra dziwnym wzrokiem.

I w ten sposób pies został idolem mojego brata. Kacper ciągle go małpuje, choć moja mama robi wszystko, by zaczął małpować ludzi.

Więc kiedy tak sobie biegali i szczekali, obaj okropnie zadowoleni, przyszła do nas babcia Tereska, a wtedy pies wrrr... i zrobił jej dziurę w spódnicy.

Ale babcia niepotrzebnie tak się przejęła, bo to była stara spódnica i na dodatek bardzo brzydka.

Tata wybiegł z domu sprawdzić, co to za hałasy, a Rudy podszedł do niego, machając ogonem, i polizał go w rękę, zupełnie jak mnie i Kacpra. Więc tata powiedział to samo, co ja, to znaczy:

- Dobry piesek, dobry.



A ja poczułam, że za chwilę może się spełnić największe marzenie mojego życia. A mianowicie będziemy mieć psa.

Jednak babcia nie wyglądała na zbytnio zadowoloną.

- Dobry piesek, dobry! - powtórzyła ze złością. - Dobry, bo pogryzł teściową.

Opowiedziałam to wszystko pani psycholog, żeby jej się nie nudziło, kiedy kolorowałam Rudego pomarańczową kredką - rudej kredki niestety nie było - a potem zerknęłam na nią znad kartki.

- Mówiłam już, że to niezdrowe dla psychiki, tak się powstrzymać - powiedziałam. - Zresztą jeżeli tak się pani spodobała ta historia, to może ją pani komuś opowiedzieć. A teraz poproszę szarą kredkę. Co?! Nie ma szarej?! To w takim razie jasnoczną. O tak! Widzi pani! To jest Puszek. Nasz kot. On jest okropnie pieszczotliwy. Szkoda tylko, że ciągle walczy z innymi kocurami, więc wujek Jacek ma pełne ręce roboty.

Potem narysowałam króliczkę Niuśkę i kruszczyce afrykańskie, bardzo fajne zuczki, którymi się opiekuję, ponieważ zamierzam w przyszłości zostać przyrodnikiem. Kiedy doszłam do rybek, a mamy ich bardzo dużo i nie chciałam żadnej pominąć, pani psycholog powiedziała, że wystarczy. Więc jeszcze tylko bardzo szybko narysowałam moją przyjaciółkę z domu naprzeciwko, choć ona nie istnieje, ale ja bardzo bym chciała, żeby istniała. I wtedy nagle zrobiło mi się smutno, że ona nie istnieje i że zaczął się rok szkolny, i zrobiło mi się mokro w oczy, i już nie mogłam się powstrzymać, więc pani psycholog spytała, czemu płaczę. Przecież przed chwilą byłam w świetnym humorze. Więc powiedziałam, że wszyscy mnie opuścili, jak zawsze, gdy kończą się wakacje.

- Bo wie pani... - tłumaczyłam, choć nie było to łatwe, bo tym razem to ja musiałam się powstrzymać, tyle tylko że od płaczu, a to okropnie niedobrze wpływa na psychikę -... przy ulicy Leśnej są ludzie, którzy, tak jak my, mieszkają w Brzezynie przez cały rok, ale oni są dosyć starzy, przeważnie na emeryturze, i ich dzieci też są dość stare, tak że już się od nich wyprowadziły. I znów

nie będę miała się z kim bawić, gdy wrócę ze szkoły. I jeśli chce pani uratować moją psychikę, to musi pani sprawić, żeby w domu naprzeciwko zamieszkała jakaś rodzina z dziećmi, bo inaczej się wykończę. I jeszcze jedno musi pani sprawić... jakieś zaświadczenie, żebym już więcej nie musiała chodzić do szkoły, bo stres szkolny po prostu mnie zabija.

Lecz pani psycholog powiedziała, że niestety, nie może tego załatwić.

Zamiast tego zaprosiła mnie na następne spotkanie, na którym będziemy się uczyć, jak sobie radzić ze stresem. Ale ja już się kiedyś uczyłam, jak sobie radzić ze stresem, u tej poprzedniej pani psycholog, i zrobiłam niesamowite postępy. Może jednak szkolna pani psycholog zna jakieś nowe metody.

A rysunek wyszedł mi świetnie. Pani psycholog sama powiedziała, że mam bardzo oryginalny styl. Szkoda tylko, że nie dostanę za ten rysunek żadnej oceny.